№ 13 WARSZAWA, DNIA 30 MARCA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

DWAJ PRZYJACIELE.

(OPOWIADANIE Z CZASÓW REWOLUCJI FRANCUSKIEJ).

DOKOŃCZENIE

Gryf wsunął się do budy, a ułożywszy się przy Jakóbku bił ogonem w słomę z radości, ale się nie odezwał, tylko lizał ręce swego małego pana.

uściskał Gryfa, wyśliznął się z budy i odszedł a pies w milczeniu patrzył na oddalającego się ukochanego pana. Nazajutrz Jakóbek powrócił i przychodził już



— Jestem strasznie zmęczony—opowiadał chłopiec pocichu. Woziliśmy dziś zboże i wprost ruszać się nie mogę!

Pies zaskomlił, jakby mu odpowiadał; wreszcie Jakóbek usnął. Po kilku godzinach obudziło go pianie kogutów: blizkim już był świt i służący wkrótce wstaną. Nie było czasu do stracenia; chłopiec

codziennie a pies przyzwyczaił się witać go w milczeniu, bez głosu.

Stajenny chłopiec już się nie budził i cała służba spała spokojnie, ponieważ pies nie odzywał się wcale.

Pewnej nocy, Jakóbek długo nie mógł zasnąć. Księżyc świecił jasno, a chłopiec, patrząc na bramę, szeptał:

— Gryf — słyszysz? Jakby to było pięknie, gdybyśmy tak mogli oba wybiedz za tę bramę! Poszlibyśmy oba daleko, w świat! Jabym pracował, tybyś mi pomagał i dobrzeby nam było — a chrzestny jest coraz gorszy dla mnie!

Było to zupełną prawdą: stary dzierżawca miał bardzo przykry charakter i wszystko go gniewało. Narzekał też często przed sąsiadami na złe obchodzenie się młodego pana z ludźmi. Wieśniacy słuchali go chętnie: każdy z nich miał ciężkie życie i chciałby je uczynić wygodniejszem.

— Czasy są ciężkie — mawiał z gniewem stary dzierżawca — i nie będzie lepiej aż tych wszystkich hrabiów i baronów nie stanie. My wszyscy, ludzie ubodzy, wtedy odetchniemy!

Jesteśmy tylko ich ofiarami!

Pewnego dnia, gdy to powiedział na zebraniu sąsiedzkiem, słowa te były przyjęte z uznaniem przez obecnych,a Jakóbek, pomny swojej krzywdy—zawołał jak mógł najgłośniej:

— Precz z panami!

— A ty się po co wtrącasz?—ruszaj do swojej roboty, leniuchu! - zawołał z gniewem dzierżawca — nie potrzebnyś tu wcale!

Ale Jakóbek nie odszedł. Wcisnął się w najciaśniejszy kąt, aby tylko nie stracić i słowa z tego, co mówiono.

— W innych krajach jest lepiej ludziom—ciągnął stary Jan. Sprzykrzyło się im cierpieć głód i biedę, popalili zamki swoich tyranów - i żyją spokojnie!

— Dlaczego nie mielibyśmy zrobić tak samo?—wtrącił drugi.— Nasz dziedzic ma niewiele służby w zamku i jest głupim, nierozważnym młodzikiem. Niechby tylko kilkunastu śmiałych chłopców wdrapało się na mury i otworzyło bramę podwórza...

— Ale kto tego się podejmie? — zapytał trzeci.

— Dzierżawca Jan jest najsprawniejszy! — ktoś zawołał.

— Głupie gadanie! — wybuchnął dzierżawca. — Czyś pomyślał nad tem, co mówisz? Przecie podwórza strzeże pies, zły jak wilk — ja go znam! Był dawniej tu, na folwarku i wiem, jak jest złośliwy! Może człowieka w kawałki poszarpać; a jest uwiązany przy samej bramie. Dziękuję za to; niech tam się wdrapie kto inny!

Wieśniacy rozeszli się niezadowoleni, a wyszedłszy od starego Jana, długo naradzali się na drodze.

Jakóbek tego dnia nie mógł jakoś usnąć, choć noc była cicha, spokojna a ciemna. Przyszedł do budy bardzo już późno, bo jakiś niepojęty strach zatrzymywał go w domu. Gryf leżał przed budą, a Jakóbek myślał:

— Nie, oni chyba tego nie zrobią! Cóż z tego, że gdzieś tam to już się zdarzyło... A jednak chciałbym, żeby tak dali dobrą nauczkę temu pankowi... za mojego psiaka kochanego! Nie miałem nic swojego, tylko tego psa — i to mi musiał odebrać... — niecierpię go!!

Cicho było i Gryf zadrzemał, oparłszy głowę na łapach, ale Jakóbkowi się zdało, że ode wsi słychać szmer jakiś, z początku daleki, potem coraz bliższy... Chłopcu krew uderzyła do głowy — w oczach mu się zaćmiło... lecz trwało to krótką chwilę tylko. Oprzytomniał—i zrozumiał wszystko: to wieśniacy szli, aby spalić zamek, a może i dziedzica pozbawić życia...

— Boże mój! - szepnął chłopiec — co robić? czy przytrzymać Gryfa, aby im nie przeszkodził, czy też... On tak głośno szczeka, wnet by się cała służba rozbudziła... nie, nie dam mu zaszczekać: niech sobie robią, co im się podoba, nie moja to sprawa!

Tymczasem szmer za parkanem był coraz wyraźniejszy: jakieś ręce niecierpliwe

szarpnęły bramę, a do uszu chłopca doszły słowa:

— Pamiętajcie, że dopóki on żyje, nam nie będzie lepiej!

Jakóbek wstrząsnął się cały... Wyskoczył z budy, ujął za obrożę psa, warczącego zcicha — i rozpiął ją.

— Gryf, co ja mam zrobić? Wiesz dobrze, że go nie cierpię, ale przecież nie mogę pozwolić, żeby miał zginąć... oni nie odejdą z niczem... słyszysz? chcą się podkopać i podpalić wszystko—Boże mój, ja nie mogę przecie pozwolić... ja go obudzę, może się obroni — chodź piesku!...

I popędził pod okna sypialni dziedzica, które wychodziły na obszerny taras zamkowy. W pokoju było jeszcze światło, to też gdy Jakóbek drżącą ręką zapukał w szybę, okno się uchyliło i dziedzic spytał:

— Kto tam? co się stało?

— Panie — rzekł zdyszanym głosem chłopiec -- to ludzie ze wsi dobijają się do bramy... chcą spalić wszystko — słyszałem!

— Czyś oszalał? ja się ich nie boję — nie odważą się!

— Panie, mówię, że już przyszli i jest ich dużo... o, słyszy pan, jak walą siekierami w bramę?...

Młody pan posłuchał chwilę — potem skoczył do biurka, wysunął jedną, drugą szufladę, skąd wyjmował różne przedmioty i kładł do kieszeni, wreszcie zawołał półgłosem:

— Nastaw kapelusz!

I sypnął weń garść pieniędzy.

— Nie chcę ich! — zawołał gwałtownie Jakóbek — powiedziałem to panu nie dlatego, żeby coś za to dostać!

I przewróciwszy kapelusz dnem do góry, wsypał do pokoju pieniądze.

Młody pan wyskoczył oknem i zawołał przyciszonym głosem:

— Chodź za mną!

Pobiegli oba w kierunku stajen, Gryf za niemi. Dziedzic wbiegł do stajni a za chwilę wyszedł, prowadząc osiodłanego swojego gniadosza.

— Dziękuję ci za to, żeś mi może życie ocalił --i radzę ci, uciekaj pókiś cały— oni mogą się na tobie zemścić, żeś mię obudził... masz tu klucz, otwórz tę małą boczną bramę i uciekajmy!

Jakóbek szybko otworzył bramkę i jeździec wraz z koniem, wypadłszy za nią, znikli w ciemnościach.

Chłopiec nasłuchiwał chwilę, coraz większy gwar w podwórzu powstawał... nagle blask czerwony oświetlił drogę.

— O niegodziwi!—zawołał, słysząc krzyki i jęki, dochodzące z podwórza—dziękuję Ci Boże, żeś mię natchnął dobrą myślą, abym mu przebaczył i ocalił życie, ale i ja z tymi ludźmi nie zostanę — nie! Chodź, piesku! pójdziemy w świat, jesteśmy wolni, słyszysz? dalej w świat, do lepszych ludzi... jeszcze zapracujemy na siebie!

I wybiegli obaj na drogę...

Z angielsk. przeł. *K. Wołyńska.*

Gdzieżeś ty, Wiosno!

Gdzieś ty jest, wiosno roześmiana
Kryjąca zgliszcza w zieleń świeżą?
Innym tyś dawno w kwiat przybrana
A u nas pola czarne leżą —

Chłodne i ciemne dni przed nami,
Z mrożącym wichrem, zimnym deszczem,
Który po szybach spływa łzami,
Z krakaniem kruków, wron
złowieszczem...

Dalekiem jeszcze lato znojne,
Niosące trudów plon bogaty,
W szumiących łanów złoto strojne —
I ty, wiosenko i twe kwiaty...

Lecz czyż o tobie zwątpić możem?
Nie — ty nadejdziesz niewątpliwie!
Przyjdziesz, szumiąca młodem zbożem
Na kołysanej wiatrem niwie —

I na pastuszej zagrasz fletni
Po nocnej rosie, w leśnej głuszy,
Tchniesz nowe życie w dąb stuletni
Gdy wiatr majowy liść poruszy...

Nic to, że nieraz jeszcze chmury
Zakryją słońca tarczę jasną:
Przedrze się ono przez nie z góry
A blaski jego nie zagasną!

K. Wołyńska.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Nagle, jakiś człowiek z opalonemi włosami i brodą, wywijając rękami jak obłąkany, skoczył ku niemu.

— Jerzy! Jerzy... czy to ty? — zawołał ochrypłym głosem.

— To pan... panie Ralfie? Zaledwie widzę pana... W oczach mam pełno szkła i krwi... Cóż za straszne rzeczy... Gdzie jest kapitan, gdzie Boleński?

— Zapewne, już nie żyją!

— A Zaruk?

Pitcher wskazał na bezwładne ciało, leżące na ziemi.

— Nie wiem czy zabity, czy tylko zemdlony... Pomóż mi go wynieść stąd—nie możemy tu pozostawać ani chwili! W piwnicy jest mnóstwo materjałów wybuchowych... To dziwne, że dotąd nie ma eksplozji!

Obaj wzięli na ręce bezwładne ciało i wynieśli do głównego korpusu willi.

— W powietrze może wylecieć tylko laboratorjum—rzekł Ralf—reszta ocaleje!

— Ale co się stało z tamtymi?—szepnął Jerzy, pełen zgrozy.

Milczeli przez chwilę, oczekując huku, zwiastującego wybuch... Krew, płynąca z ich pokaleczonych oczu, przesłaniała im widok spustoszenia—odurzeni, zdumieni tym kataklizmem, nie myśleli nawet o ratowaniu swego życia, jak domownicy willi, którzy wrzeszcząc w niebogłosy, uciekali gromadnie.

W tej chwili ukazała się na tarasie chuda postać lorda.

— No i cóż tu się stało? — zapytał z całym spokojem—czy piorun uderzył?

— To nie piorun... — wyjąkał Ralf — nie wiem, co to było.. Wad i Boleński są tam!

I drżącą ręką wskazywał stos odłamków szkła, pogiętych prętów niklowych, spajających przedtem szyby szklane, a nad tem wszystkiem, słup białego płomienia eteru.

— Więc trzeba ich ratować—rzekł krótko lord.

— To niepodobne — zresztą wszystko za chwilę wyleci w powietrze!..

I Ralf zaśmiał się dziko, jak obłąkany.

— Tak, wszystko wyleci w powietrze! — powtórzył jak echo Jerzy.

— By God! *) Przestrach odebrał im zmysły!—krzyknął Frymcock.—Hej! Czyście poszaleli? ruszcie się przecie: musimy ugasić pożar i próbować ocalić kapitana i Boleńskiego! Dalej, chodźcie natychmiast!

Ralf powstał z ziemi, gdzie klęczał przy Zaruku i przeciągnął rękę po czole gestem pełnym znużenia. Twarz jego, poparzona i pokaleczona odłamkami, wyglądała strasznie i znać na niej było walkę, jaką przechodził, aby odzyskać trochę spokoju.

— Tak—szepnął—trzeba... pomogę panu! Przeżyłem chwile okropne — i to mię obezwładniło...

Jerzy, który tamował chustką krew, płynącą z pokaleczonych oczu, zbliżył się również.

— Odwagi, panowie! — zawołał Frymcock — przecież we trzech coś poradzimy! Gdzie są bomby do gaszenia ognia?

— Tutaj — rzekł Ralf, odzyskując przytomność — są na każdym tarasie, ale lepiej otworzyć kran z gazem, gaszącym ogień... Czemuż dotąd nie zrobiłem tego!

W willi był zapas bomb szklanych, z płynem gaszącym ogień w chwili ich stłuczenia—nadto gazometr, zawierający gaz, który unicestwiał najgwałtowniejszy pożar.

Nie zważając na płonący wciąż ogień i możliwość wybuchu, Ralf szybko odkręcił kurek gazometru, podczas gdy Jerzy z lordem otwierali krany wodociągowe. W parę minut płomienie znikły, zastąpione przez obłoki pary, o woni ostrej i gryzącej, a niebezpieczeństwo eksplozji było usuniętem.

*) Na Boga!

Gdy para rozproszyła się nieco, trzej mężczyźni, do których się przyłączył ocucony z omdlenia Zaruk, wziąwszy latarnie zapalone przez Kerifę, (która jedyna z całej służby pozostała w willi), zbliżyli się do dymiących zgliszcz.

Cóż za widok uderzył ich oczy!

Z pysznego laboratorjum zostały tylko stalowe ramy, utrzymujące niegdyś olbrzymie szyby: kosztowne narzędzia były rozbite w proch! Pyszny posąg, ukrywający w sobie telefon, leżał zczerniały i pokrzywiony, a pośrodku laboratorjum utworzyła się okrągła przepaść, do połowy zapełniona szczątkami i obłamkami szkła i żelaza.

Na brzegu leżało ciało Boleńskiego, straszliwie zeszpecone: przez czaszkę, rozłupaną jak od uderzenia siekiery, widać było mózg— nieszczęśliwy musiał być zabitym w jednej sekundzie, gdyż na twarzy pozostał uśmiech, który przy pokaleczeniach i krwawych plamach wyglądał straszliwie.

— Biedaku!—szepnął Pitcher, nie starając się ukryć łez, płynących mu po twarzy — przed chwilą byłeś tak energicznym, tak pełnym życia!... Nie pojmuję, nie mogę wynaleźć przyczyny tego nieszczęścia...

— Gdyby chociaż kapitan ocalał—szepnął Jerzy—szukajmy... Kto wie?

— Nie mam żadnej nadziei—rzekł Ralf— on spoczywa tam!

Tu wskazał na przepaść, otwartą pod ich stopami.

— Musimy jednak dowiedzieć się napewno — rzekł Frymcock. — Pozwólcie mi tam zejść.

— Nie narażaj niepotrzebnie swego życia — odezwał się Zaruk — jeśli zechcecie, zejdę tam natychmiast.

— Nie! — zawołał Jerzy — ja tam zejść muszę...

W tej chwili pomimo grzmotów i wycia wichru, dała się słyszeć trąbka automobilu.

— Miss Alberta... Tak, to ona!—wykrzyknął Ralf z rozpaczą. — Jak ją zawiadomić o śmierci kapitana i Boleńskiego?

Wszyscy patrzyli na siebie bezradnie.

Trąbka zabrzmiała bliżej.

— Trzeba coś postanowić — rzekł Ralf przygnębiony—muszę tam iść... albo... chodźmy wszyscy — tak będzie najlepiej!

Ze śmiercią w duszy, odważyli się wkońcu zejść; przeszli dziedziniec, którego piękna mozajka poczerniała od dymu i otworzyli drzwi wejściowe w chwili, gdy automobil się zatrzymał.

VI. Zagadkowy meteoryt.

W świetle latarni automobilu, miss Alberta ukazała się Jerzemu, jak widziadło zaświatowe. Jej piękna twarz była trupiobladą, niebieskie oczy podkrążone mocno, złote włosy w nieładzie, a kostjum podróżny był obryzgany błotem.

Wyskoczyła szybko, pytając trwożnie:

— Mam nadzieję, panie Pitcher, że ponieśliśmy tylko materjalną szkodę? Widziałam ogień... Czy to piorun uderzył w willę?

A spostrzegłszy ukłon Jerzego, dodała:

— Zapewne pan Jerzy Darvel? Witam pana serdecznie! Ale gdzież jest kapitan i pan Boleński?

Mówiła to z taką swobodą, że Ralf nie śmiał odpowiedzieć.

— Miss Alberto...—wyjąkał wreszcie.

— Ależ pan jesteś strasznie poparzony!—zawołała ze wzruszeniem—i pan także, panie Darvel! Ach, oto Kerifa i lord Frymcock, na szczęście, zdrowi i cali!

Lecz widząc pomieszanie obecnych, spytała żywo:

— Dlaczego nic mi nie mówicie o kapitanie i o Boleńskim? Mówcie, bo znieść nie mogę tej strasznej niepewności!

— Miss Alberto... — wyszeptał Ralf drżącemi ustami — obaj przyjaciele nasi zginęli... Taką jest ta straszliwa prawda!

Grobowe milczenie zapanowało... Miss Alberta stała jak gdyby skamieniała po tej okropnej nowinie

Wreszcie zaczęła płakać gwałtownie.

— Mój Boże! — szeptała wśród łkań — na cóż mi się przyda mój cały majątek, jeśli nim nie mogłam zapewnić bezpieczeństwa najdroższym przyjaciołom! Któż mi zastąpi ich obu, ich dobroć, wiedzę... przyjaźń?

Zawiele jednak posiadała wrodzonej energji, aby się długo oddawać łzom i rozpaczy; otrząsnęła się wkrótce z przygnębienia i po kilku pytaniach, zadanych Ralfowi, dowiedziała się o całym przebiegu katastrofy.

— Może kapitan jest tylko raniony, mogły się nad nim spiętrzyć belki, jak się to często zdarza w tego rodzaju wypadkach... Powinniśmy zrobić wszystko, co można, aby go odszukać i uratować... Nie chcę ani jeść, ani spocząć, póki się o jego losie nie dowiem...

Kerifa wbiegła i ze wzruszeniem całowała ręce swej pani.

— Jesteś nareszcie!—szeptała—byłam tak niespokojna o ciebie! Burza musiała być straszną na morzu, prawda?

— Tak, byłam najpewniejszą, iż zginiemy wszyscy. Bo też ta burza była jakąś nadzwyczajną: fale błyszczały ogniem i niebo nim płonęło.. Kapitan, który od czterdziestu lat pływa po różnych morzach, a z nim i załoga, oświadczyli, iż nigdy nie widzieli tak szczególnych meteorytów. Z pokładu fala zmiotła kilku ludzi...

— Jesteś tak znużoną — szepnęła Kerifa z czułością — pomimo wszystko, kazałam zastawić wieczerzę; może się posilisz choć trochę...

— Jak możesz tak myśleć! Dziękuję ci za troskliwość, ale pomóż nam lepiej rato-

wać kapitana, jeśli jest jeszcze czas po temu... Gdzie służący?

— Wszyscy uciekli ze strachu, są w lesie!

Miss Alberta skierowała się w stronę laboratorjum, mężczyźni i Kerifa szli za nią. Pochód zamykał Zaruk, który przez ten czas postarał się o pochodnie, oraz o motyki i rydle, które przyniósł z ogrodu.

— Powiedz mi pan - rzekła miss Alberta do Ralfa — czemu pan przypisuje tę katastrofę?

— Nie mogę jeszcze powiedzieć nic pewnego; sądzę jednak, iż był to piorun—rzekł Ralf wzruszony.

— Przecież na laboratorjum były piorunochrony?

— Tak, ale, jak pani zapewne wiadomo, zdarzają się wypadki, że i najlepiej urządzone piorunochrony wypowiadają nieraz posłuszeństwo i to z przyczyn nieznanych. Jak to już mówiłem, stoimy tu wobec niewytłomaczonego i nieznanego zjawiska!

— A co pan mówiłeś o jakiejś kuli ognistej?

— Piorun bardzo często przybiera tę postać—i doprawdy, że tu niczego nie jestem pewnym — nic nie wiem!

— Zaraz się wszystkiego dowiemy! — rzekła z mocą.

Po schodach wewnętrznych zeszli do apteki, mieszczącej się tuż pod laboratorjum. Ralf otworzył drzwi.

Panował tam najzupełniejszy chaos: złomki drzewa i żelaza, podruzgotane naczynia, meble nawpół spalone... Woń gazu, użytego do gaszenia ognia, ostra i mdła zarazem, napełniała powietrze, drażniąc krtań i płuca.

— Miss Alberto — rzekł naturalista — czy pani wiadomo, że tu jest balon z pikratem potasu? Cud to prawdziwy, że dotąd nie wybuchnął jeszcze...

Młoda dziewczyna skinęła ręką lekceważąco.

— Proszę panią usilnie, abyś tam nie schodziła... Ogień może się tlić jeszcze; prócz tego, dość jednego uderzenia, aby wywołać wybuch! Niech pani wróci na górę! Narażanie życia w tych zgliszczach byłoby szaloną i bezcelową nierozwagą!

— Przecież i pan się naraża także! Do mnie należy dawać dobry przykład innym, więc idę z panem.

— To zupełnie co innego!—obruszył się Ralf—dla nas badaczy praw natury, chemja i fizyka codzień przedstawia te same niebezpieczeństwa. Myśmy już na to przygotowani!

— Nie nalegaj pan dłużej—rzekła stanowczo—uważam za swój obowiązek podzielanie z wami niebezpieczeństwa, jeśli ono istnieje rzeczywiście!

Ralf umilkł, widząc bezskuteczność swoich uwag. Rozdzielił narzędzia ratunkowe między Jerzego, Zaruka i lorda — miss Alberta i Kerifa miały przyświecać przy robocie pochodniami. Zapalono też parę latarni ogrodowych, które oświetliły ten straszny obraz. Pośrodku widniał otwór okrągły a głęboki; z przepaści tej sterczały szyny stalowe, na których opierało się przedtem sklepienie.

Zaczęto z tysiącznemi ostrożnościami wyciągać te szczątki; mężczyźni wynosili szyny na taras, a butelki i słoje z produktami chemicznemi do bezpiecznego schronienia w drugiej piwnicy. Pracowano usilnie już od godziny, nie znajdując śladu kapitana.

Miss Alberta była w rozpaczy i zadawała wciąż nowe pytania Ralfowi.

— Co to może znaczyć, żeśmy go dotąd nie znaleźli? Czyżby piorun mógł obrócić go w proch?

Ralf odparł po chwilowym namyśle:

(D. c. n.).

(Tłom. z fran. *K. W.*).

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Z trzech synów jego, najmłodszy, Henryk, został księdzem, dwaj zaś pozostali znowu się podzielili: Janusz wziął połowę Czerską, Ziemowit IV Płocką. Pierwszy osiadł na stałe w Warszawie, przewyższającej już wtedy o wiele Czersk a gospodarując i rządząc mądrze, zasłużył sobie na miłość podległego mu narodu i poważanie u króla polskiego, którego władzę zwierzchniczą nad sobą uznawał.

Inaczej zupełnie postępował książę Ziemowit, zmarły w r. 1429. Zajęty ciągle myślą o niepodległości i rozszerzeniu swej władzy, po śmierci króla Ludwika węgierskiego, sięgał po koronę polską i zamiary swe orężem popierał, zagarniając w czasie bezkrólewia wiele miast i zamków w nadziei zdobycia w ten sposób całej Polski.

Jednakże gdy na tron polski wstąpił Jagiełło, pogodził się z królem, który oddał mu za żonę siostrę swą, Aleksandrę Olgierdównę, a z nią w wianie ziemię Bełzką, stawiając mu za warunek uległość Koronie.

Książe Janusz zmarł w r. 1426, zostawiając swe księstwo wnukowi, Bolesławowi.

Z synów Ziemowita, Władysław otrzymał księstwo Płockie, starszy Ziemowit— księstwo Rawskie, a Kazimierz księstwo Bełzkie na Rusi.

W Sandomierzu uroczysty hołd złożyli królowi trzej bracia, dwaj rodzeni, jeden stryjeczny. Odmówił złożenia go jeden tylko – Władysław Płocki.

W r. 1446 zmarli bezdzietnie Ziemowit Rawski i Kazimierz Bełski, a spadkiem po nich podzielili się pozostali książęta. Rawa przyłączoną została do Płocka, Bełz do Warszawy.

Po upływie lat kilku zmarli i pozostali książęta, Władysław Płocki w r. 1455 w Niedźwiedzi pod Sochaczewem, a Bolesław Warszawski w 1457 w Opinogórze pod Ciechanowem.

Pierwszy pozostawił 2 synów drugi zaś czterech.

Opiekę nad synami objęły matki, przybierając sobie do pomocy biskupa płockiego, Pawła z Giżyc, który przez lat 8 rządził dobrze i szczęśliwie obu księstwami.

W płockiej połowie Mazowsza, miał po dojściu do pełnoletności Ziemowit VI otrzymać Płock, Władysław zaś, który został z czasem biskupem i zmarł w 1480

roku, Rawę, bracia zaś jego podzielić się mieli Bełzem, Czerskiem i Warszawą.

Tymczasem przez dziwne zrządzenie losowe obydwaj książęta linji płockiej zmarli prawie że jednocześnie w r. 1462, i dzielnice ich, na mocy wyroku sejmu koronnego, z dniem 20 listopada t. r. przeszły na własność królewską.

Trzej zaś bracia, potomkowie Ziemowita, podzielili się swemi posiadłościami w sposób następujący: Konrad, zrzekłszy się Płocka, wziął Czersk z Ciechanowem, Bolesław Warszawę i Zakroczym, Janusz zaś po Konradzie otrzymał Płock, ale już tylko prawem lennem, na dożywocie.

W r. 1495 zmarł bezpotomnie ks. Janusz, i wtedy król Olbracht wcielił ks. Płockie do Korony.

Książe Konrad, który po śmierci ks. Bolesława, zaszłej w r. 1488 objął i jego dzielnicę: Warszawę i Zakroczym, zmarł w r. 1503, pozostawiając dwóch synów; Stanisława i Janusza. Opiekę nad nimi zlecił matce, ks. Annie, z domu Radziwiłłównie i Janowi Okuniowi, kasztelanowi Czerskiemu.

Za rządów ks. Anny Mazowsze podniosło się bardzo, a zwłaszcza Warszawa, w której na budowę kościołów nie szczędziła wydatków.

Wbrew prawom korony, potrafiła sobie wyrobić na sejmie przywilej, że Mazowsze otrzymali książęta prawem lennem w dożywocie. Stale dążyła do niezawisłości Mazowsza, i tak się różnemi żądaniami naprzykrzała królowi Zygmuntowi Staremu, aż wreszcie postanowieniem swojem z r. 1518 usunął ją od opieki nad synami.

Zmarła w r. 1522, pochowaną została w Warszawie, w kościele Bernardynów.

Historycy zarzucają jej złe bardzo życie oraz niewłaściwe wychowanie synów.

Odbiło się to na ich rządach: po śmierci matki podzielili się dzielnicami, ale panowali wspólnie. Oddani zbytkom i hulankom, nie żyli długo, gdyż ks. Stanisław zmarł w r. 1524, Janusz zaś w dwa lata po nim, jak utrzymują jedni —z suchot, według drugich zaś—z trucizny.

Pochowano ich w katedrze św. Jana w Warszawie.

Tak zgaśli ostatni książęta Mazowieccy. Król Zygmunt zajął natychmiast ich dzielnice, przyjąwszy przez swoich pełnomocników hołd w Warszawie, od stanów Mazowieckich.

Zachowało jednak Mazowsze pewną niepodległość, ponieważ król ustanowił tam swego namiestnika, którym z urzędu był wojewoda mazowiecki.

Dopiero w r. 1576 zniósł ten urząd król Stefan Batory i to na skutek prośby samej szlachty mazowieckiej, która przyjęła prawa koronne, a zrzekła się swoich, zatrzymując tylko niektóre zwyczaje mazowieckie. W ten sposób...

Kończył już profesor swą opowieść, której wszyscy słuchali z wielkiem zajęciem, gdy naraz Pawełek porwał się z miejsca, i cofając się w tył z przerażeniem, wołać począł:

— Żmija!... żmija!..

I wyciągniętym palcem wskazywał na przesuwającego się wśród trawy czerwonawo-szarego węża.

Ma się rozumieć, że okrzyk jego wywołał panikę wśród pozostałych. Pani Marcinowa porwała się z miejsca, lecz tak nieszczęśliwie, iż zahaczyła spódnicą o trójnóg i przewróciła go, przyczem woda z imbryka, która już gotować się zaczynała, wylała się na ziemię. Tomasz równie porwał się z miejsca, i z batem wzniesionym do góry gotów był rzucić się na przesuwającego się wśród trawy węża, gdyby profesor, który sam jeden w ogólnej panice, zdołał zachować spokój, nie był go powstrzymał.

— Daj spokój — rzekł do niego: nie morduj niewinnego stworzenia!

— Jakto niewinnego?— zawołała energiczna pani Marcinowa, nie mogąc ochłonąć z przestrachu — to żmija jest niewinnem stworzeniem? O, jak syczy... jak wysuwa żądło. Zabij ją... zabij... bo jeszcze nas pokąsa!

Uśmiechnął się profesor pobłażliwie na te jej wykrzykniki, i powstrzymując Tomasza—rzekł:

— Może być Marcinowa spokojna... to nie żmija. Jest to zupełnie niewinny wąż, zwany gniewcem, bardzo pospolity na naszych łąkach i w lasach. To, co Marcinowa uważa za żądło, to tylko jego język rozdwojony, który nic nam zrobić nie może. Wybrał się widać na polowanie, gdyż pożywienie jego stanowią jaszczurki, myszy, ślimaki, owady i różne inne drobne stworzenia polne. Dzięki temu jest on nawet pożytecznym. O, patrzcie!



I palcem wskazał na posuwającego się szybko gniewca. W trawie przed nim przesunęło się coś szarego, jakby mysz. Gniewiec wyprostował się, prześlizgnął się szybciej, rozległ się cichy pisk—i mysz zginęła w paszczy węża.

D. c. n.

Złoto i platyna z żelaza.

Chemik Verley, który zasłynął już jako wynalazca w dziedzinie kombinowania farb i zapachów, utrzymuje, że można z żelaza wydobywać złoto i platynę — dwa najcenniejsze metale. Próbę takiej przeróbki posłał on już słynnemu angielskiemu chemikowi, lordowi Wiljamowi Ramsay'owi, a tymczasem opowiada co następuje:

— W kopalniach złota afrykańskich i amerykańskich, koszt wyprodukowania kilogramu złota wynosi 2,800koron, a wartość takiej bryły — 3,500 koron; ja zaś mogę wydobywać kilogram tego metalu z żelaza kosztem 500 koron. W założonym przezemnie warsztacie mogę codzień wyprodukować od 20—30 gramów. Dopóki cena złota nie spadnie wskutek mego wynalazku, będę miał olbrzymie zyski, ponieważ mogę oddawać moje złoto na sprzedaż. Przecież musi nastąpić bajeczny krach, a ja nie chcę być autorem takiej katastrofy. Zamierzam tedy ułożyć się z rządem: niech on zwoła międzynarodową konferencję, którąby uchwaliła zmonopolizowanie przez rządy mego wynalazku, poczem każdy prywatny fabrykant złota byłby traktowany jako fałszerz pieniędzy. Opis fabrykacji złożyłem Akademji umiejętności w zapieczętowanej kopercie. Nie przypuszczam, bym się łudził. W Grudniu roku przeszłego pracowałem w laboratorjum Ramsay'a i tam pod ścisłą kontrolą jego asystentów, wyprodukowałem z żelaza platynę. Oto na dowód list Ramsay'a, który stwierdza, że 40 gramów platyny wydobyłem z tony żelaza. Chciałem u Ramsay'a wyprodukować także złoto, lecz on—nie wiem dlaczego — nagle przerwał moje doświadczenia.

Jeśli Verley się nie łudzi, to znaczy, jeżeli w żelazie jest element złota i platyny, a koszt wydzielania tych metali nie przeniesie 50 koron na każdy kilogram, to oczywiście nic nie pomoże żadne zmonopolizowanie tej przeróbki. Potajemne laboratorja powstaną na całym świecie, a złoto szalenie stanieje, mniej będzie warte od srebra, i jednocześnie spadną z ceny wszystkie wartości, oceniane teraz podług złota. Katastrofa ekonomiczna byłaby wprost bajeczna.

Drobiazgi.

Żartowniś. Jakiś magnat z końca XVIII wieku miał na swoim dworze trefnisia, sława którego szeroko się rozeszła.

Pewien szlachcic podróżny, spotkawszy się z nim raz na drodze, pytał go, skąd powraca, a gdy się dowiedział, że z Warszawy, prosił, aby mu powiedział, co tam słychać nowego.

— Eh, nic panie, chyba tylko to, że jakoby tam powstało przeszło trzydzieści tysięcy ludzi.

— Dlaczego? bada dalej zaciekawiony szlachcic.

— Dlatego, panie, aby się na wieczór spać pokładli,—odpowiada żartowniś.

* * *

Raz gdy żebrakowi ktoś z przechodzących rzucił drobną sztukę monety, a ta potoczyła się daleko, ten rzekł:

— Panie Boże zapłać, jeżeli znajdę.

Niedziela Palmowa.

Raz przed wiekami, w dzień wiosenny
Jerozolimy brzmiały mury
Okrzykiem pieśni i wesela
Idącym w dal, aż hen — na góry...

Wyległy z miasta rzesze tłumne
By witać Króla wpośród drogi
I słać Mu na nią szaty swoje
I kwiaty rzucać Mu pod nogi...

A Chrystus patrzy ponad tłumy
Po przez promienie słońca złote
Na przyszłe miejsce krzyża Swego,
Męki i chwały Swej — Golgotę...

Wie, że za kwiaty, dziś rzucane
Cierń Mu męczeńskie czoło skrwawi
A jednak wszystkim, wszystkim wkoło
Ludziom i miastu — błogosławi...

K. W.

Podwodny telefon. Anglik Sharman dokonał nowego wynalazku olbrzymiej wagi,



a mianowicie komunikacji telefonicznej pod wodą. Niedawno dokonane były próby z okrętami wojennemi, stojącemi w znacznej odległości od brzegu i powiodły się w zupełności.

KRONICZKA.

△ Stany Zjednoczone w północnych prowincjach, uległy ogromnym nawałnicom śniegowym, przyczem przyczem morze przy porcie Nowo-yorskim zamarzło.

△ Bezrobocie górników w Westfalji, w Niemczech, wśród których pracuje wielu polaków, trwa jeszcze. Wskutek starć z policją, padło wielu rannych i zabitych. Znaczną część wśród nich stanowią Polacy.

△ Uroczysty obchód na cześć Zygmunta Krasińskiego, odbył się w Wiedniu.

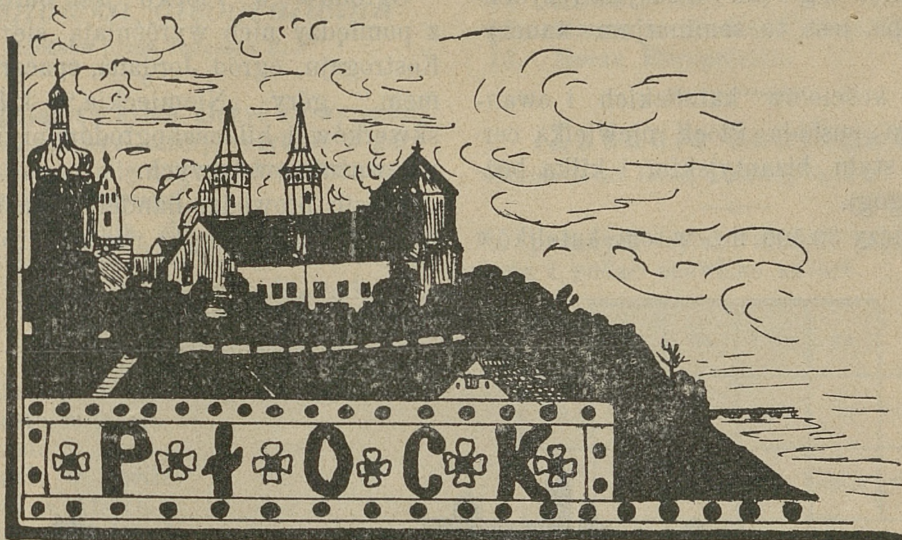
△ W dniu 27-ym b. m. odbył się w teatrze Wielkim w Warszawie, jubileusz 25-letniej pracy literackiej znanego i cenionego poety Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Odegrano znakomity dramat jego p. t. „Zawisza Czarny".

„O własnych siłach".

Od Redakcji.

Zawiadamiamy naszych czytelników, iż z 27 prac, nadesłanych na konkurs krajoznawczy, żadna nie okazała się bezwzględnie dobrą; lecz kilka z nich, wyróżniających się większemi zaletami, odznaczamy umieszczeniem ich w dziale „O własnych siłach".

Pierwszą z nich dziś podajemy.



Płock, miasto gub., leży na prawym brzegu rzeki Wisły, w gub. Płockiej, pod 52° 33′ szer. gieograf. i jest połączony z gub. Warszawską, ze wsią Radziwiem, mostem łyżwowym długości ³/₄ wiorsty. Gdy płyniemy Wisłą, zdaleka już widzimy górę, wysokości od 7 do do 10 pięter, na której się wznosi dawna stolica książąt Mazowieckich - jedno z najstarszych miast w Polsce. Płock posiada dużo ogrodów, to też wygląda bardzo malowniczo, szczególniejszego uroku dodaje mu katedra, majestatycznie wyłaniająca się z zieleni. Z zabytków historycznych godne są widzenia: wyżej wspomniana katedra, fundowana przez Mieczysława I-go w 995 r., z grobami królów polskich: Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Groby te mieszczą się w osobnej kaplicy.

Za panowania tych królów Płock był stolicą Polski i dlatego zawiera w sobie te groby królewskie. W katedrze jest też dużo pomników zasłużonych ludzi, np. pomnik ks. biskupa Ignacego Krasickiego, książąt Mazowieckich, biskupów i innych.

Niedawno katedra została odnowioną przez ks. biskupa hr. Szembeka, na pamiątkę tego wmurowano nad drzwiami piękną płaskorzeźbę, wykonaną z jednego kawałka bronzu, przedstawiającą biskupa Szembeka ofiarowującego odnowioną świątynię Pańską Matce Boskiej, która trzyma na ręku Jezusa Chrystusa. Przy kościele znajdują się: skarbiec i muzeum djecezjalne.

Ze starego zamku pozostały obecnie dwie wieże: jedna, t. zw. „Dorotka,“ albo „Szlachecka,“ gdyż służyła dawniej za więzienie szlacheckie—i druga nie posiadająca nazwy, obecnie przerobiona na dzwonnicę, w której się mieści stary zegar wieżowy, ciekawy zabytek sztuki średniowiecznej. Przy ulicy Mostowej znajduje się stary zamek Radziwiłłów, obecnie obrócony na użytek prywatny i tylko pozostałe herby przypominają dawną jego świetność. Dawniej w Płocku było dużo kościołów i klasztorów, ale obecnie oprócz katedry pozostały tylko dwa, kościół katolicki Dominikanów przerobiony został na kościół ewang., kościół św. Trójcy — na teatr, dawny klasztor—na gimn. męzkie rządowe; a oinnych kościołach i klasztorach

już i pamięć zaginęła. Płock jest rezydencją biskupa, jest tu seminarjum nauczycielskie.

Oprócz kościołów katolickich i ewangielickiego posiada Płock niewielką cerkiew w stylu bizantyjskim i kilka bóżnic (synagog).

Płock liczy 30,500 m., w tem katolików



17,500 mieszk., żydów 11,000, a prawosławnych i ewangielików — 2,000 mieszk. W mieście jest dosyć dużo zakładów naukowych, a mianowcie:

Polskie 8-mio klas. gimnaz., 6-cio klas. progimn. męzkie, 2 pensje 7-mio klasowe żeńskie, gimnazjum, trzy [klasowa szkoła miejska i kilkadziesiąt mniejszych szkółek prywatnych i rządowych. Jest tu też kiika dobrych ochronek. Płock jest miastem dosyć czystem, posiada wodociągi, kanalizacje, szpitale i łazienki.

Ogrodów w Płocku jest bardzo dużo, z pomiędzy nich wyróżniają się: park na Kostrogaju, ogród Jordana, spacer za „Tumem,“ góry „Niemieckie,“ kilkanaście skwerków i kilkaset ogrodów prywatnych, przeważnie owocowych.

Miasto prowadzi handel zbożem i drzewem, posiada fabryki narzędzi rolniczych, garnków, mydła i świec, cegielnie i t. d. wogóle jednak ruch handlowy nie jest wielkim.

Może jednak spodziewana kolej ożywi nieco miasto i postawi je na lepszej stopie handlowej. Przedmieściem Płocka jest Radziwie, duża wieś, licząca przeszło 2,000 mieszkańców, przeważnie katolików. Posiada ładny kościół, aptekę i wogóle niedługo zmieni się w małe miasteczko.

K. Betley.

Łamigłówka gieograficzna

ułożona przez Tadeusza P.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 13 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko autora znanej czytelnikom powieści.

Sylaby: a, ko, nja, da, bis, e, e, fa, ga, gdańsk, gej, gniez, hio, lipsk, flis, no, o, pur, ral, rest, ga, ry, sin, skie, ty, u, u, we, wil, sy.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Niemczech.
2. Miasto w Rosji.
3. Miasto w Azji.
4. Miasto w Rosji.
5. Kraj w Afryce.
6. Miasto na Litwie.
7. Miasto w Saksonji.
8. Góra w Azji.
9. Miasto w Rosji.
10. Rzeka w Ameryce.
11. Rzeka w Azji.
12. Miasto w W. Ks. Poznańskiem.
13. Morze Europejskie.

Zadanie konikowe

ułożone przez Jadzię i Anusię Sz. z ul. Chłodnej.

—o—

Z podanych sylab ułożyć należy dwuwiersz i podać nazwisko autora.

	dzy	du	zwie	ca	
po	świa	a	bądź	lu	przejść
dla	dla	Chcesz	czło	chem	chem
kiem	ło	ru	to	rząt	roz
	dzi	mię	wie	wym	

Piewsza wycieczka „Naszego Świata".

W Poniedziałek, dnia 25-go b. m., odbyła się pierwsza, nadzwyczaj zajmująca wycieczka Czytelników „Naszego Świata"; celem jej była stacja filtrów.

Wobec tego, iż jednorazowo nie mogło uczestniczyć w wycieczce dużo osób, będzie ona powtórzoną w Niedzielę, d. 31 b. m.

Punkt zborny na stacji filtrów (Koszykowa 81) o godz. 9 i pół rano.

Od Redakcji.

W Czwartek, dnia 4-go Kwietnia, o godz. 12-ej w południe, w lokalu ochronki, mieszczącym się przy ul. Czerniakowskiej Nr. 93, odbędzie się, dorocznym zwyczajem, rozdanie dzieciom Święconego, sukienek i bielizny, na którą to uroczystość redakcja uprzejmie zaprasza swe czytelniczki i czytelników.

Wszelkie, bodaj najdrobniejsze, na ten cel ofiary, przyjmuje redakcja „Naszego Świata" (Ordynacka 8 m. 7 od godz. 10—7 wieczorem).

GAWĘDKA LISTOWNA.

Tad. Etienne. Rozwiązania najlepiej przysyłać co tydzień lub najwyżej co dwa: przysyłanych z 6 iu lub więcej N-rów odrazu, nie możemy uwzględniać, gdyż rozporządzamy małą ilością miejsca.

Władysława Pak. szarada będzie drukowaną.

Ucznia szkoły polskiej łamigłówkę umieszczę.

Apeliotesa łamigłówkę przyjmuję dla nowości pomysłu.

Laszce dajemy tę samą odpowiedź co i *Kalinie.*

Kalina obrała sobie za przedmiot łamigłówki imię i nazwisko, z którego w ostatnich czasach była drukowaną łamigłówka i jeszcze jedna jest w zapasie; tej więc już przyjąć nie możemy. Czyż i dzisiejsze czasy nie posiadają nazwisk, będących naszą chlubą? Dlaczego zamykać się wyłącznie w okresie wieków średnich, nadsyłając po kilkanaście i więcej zadań na jedno nazwisko, a nie poszukać czegoś nowego?

Helenki T. łamigłówka będzie umieszczoną.

Jeżeli *Gienia J.* zechce czekać około ośmiu miesięcy na umieszczenie swej łamigłówki, to mogę ją przyjąć — gdyż zapewne wcześniej nie będzie drukowaną.

J. Willnera zadanie kryształowe, mylnie nazwane rebusem, umieszczę.

Marjana K. łamigłówka jest zbyt łatwą dla czytelników «Naszego Śmiata».

W. Orzepowski zapewne już dawno odebrał żądaną książkę, gdyż wysłaną była zaraz po odebraniu listu.

Henia K. zadanie liczbowe będzie umieszczone.

Wielki Orzeł i Modrooka Sarenka ułożyli zbyt łatwą i niczem nie wyróżniającą się łamigłówkę; umieszczoną być nie może.

Miłośniczki natury zadanie sylabowe jest zbyt łatwe; łamigłówkę, jako będącą na dobie, umieszczę.

Anecie K. z Łomży Czyż na każdy liścik do redakcji potrzeba będzie tak długiego namysłu? Przypuszczam, że nie; bo po pierwszym zapewne owo «tchórzostwo» zniknie bezpowrotnie, a z niem i przeszkoda do dalszej korespondencji. Łamigłówkę umieszczę, lecz jeszcze nieprędko

Bobuś M. pyta: czy warto męczyć głowę nad układaniem łamigłówek? Otóż, jeśli być mają takie, jak załączona w liście, to zapewne że nie, gdyż zawiera zbyt wielkie błędy: np. jeden wyraz powtarza się dwukrotnie, a to dopuszczonem być nie może.

Józiowi K. z ul. Gęsiej. Łamigłówka będzie umieszczoną dopiero przy końcu r. b.

J. Wróblewskiemu i B. Kostewiczowi powtarzam powyższą odpowiedź

Polskiego Tułacza arytmograf niczem się nie wyróżnia.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i kreskowej z N-ru 9-go nadesłali: J. Kleiber, Jerzy Dufrène, Irena Moszkowska, Cela Przedmiejska, Bystry Sokół.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2 ej z N-ru 10 go nadesłali: Stefcia i Reginka W., Polski Tułacz. Kamilla Bogucka, Halunia Chrzanowska, Płomyk z Bierwieńciszek, W. Langiertówna, Irena Moszkowska, Jadzia i Janek M., Cela Przedmiejska, Bystry Sokół.

Rozwiązanie łamigłówki gieograficznej i znakomitych ludzi z N-ru 11-go nadesłali: T. Wierzbicki ze Żbikowa, Ulisses, Polski Tułacz, Aleksander Szwarc, Janek Drozdowski, Józef Spett, Irena Moszkowska, Stefcia i Reginka W., Jadzia i Janek M., Wiosenne Chmurki, Biały Orlik, Jadzia i Anusia Sz. z ul. Chłodnej, Rózia Amzelówna, Cela Przedmiejska, Roma i Gucia T. z Nowolipia, Sarenka i Sokół z ul. Topiel, Serce Sokole, Płomyk z Bierwieńciszek, Sokole Oko Wiosenne Chmurki, Bystry Sokół.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 9.

1. Alegorja
2. Nibelungi
3. Tarnowski
4. Oka
5. Naruszewicz
6. Irys
7. Linneusz
8. Ambrozja
9. Nisza
10. Gawalewicz
11. Element

A n t o n i L a n g e.

Rozwiązanie łamigłówki kreskowej z Nr. 9.

1. ***B***
2. K ***o*** ń
3. M a ***n*** n a
4. M a t ***a*** p a n
5. ***B o n a p a r t e***
6. Z e g ***a*** r e k
7. K o ***r*** a n
8. K ***t*** o
9. ***e***

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze przysyłanie przedpłaty na kw. 2 gi.

Do numeru bieżącego dołącza się, jako dodatek bezpłatny **trzeci tom Potomka Hetmańskiego.**

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.